

# ALFA JEDEN



ADRIANNA BIEŁOWIEC



# PLACÓWKĄ NAUKOWĄ INION VERTEX

(OK. 500 PRACOWNIKÓW)

WYDZIAŁ  
GEOLOGII I  
KLIMATOLOGII

WYDZIAŁ  
GENETYKI I  
ROZWOJU  
OSOBNICZEGO

WYDZIAŁ  
BIONIKI

WYDZIAŁ  
FLORY I FAUNY  
PHALAGIONA

WYDZIAŁ  
BRONI

WYDZIAŁ = KILKA SEKTORÓW  
OZNACZONYCH LITERAMI ALFABETU

PRZEJŚCIE MIĘDZY  
WYDZIAŁAMI

KOMIÓRKA  
MILITARNA  
FALKON

DISPOZYCJE  
ENERGETYCZNE

KOLEJKA WĄSKOTOROWA

500M

Copyright © by Adrianna Bielewicz, Szczecin 2017

Wszelkie prawa zastrzeżone. Rozpowszechnianie i kopiowanie całości lub części niniejszej publikacji jest zabronione bez zgody autora. Zabrania się publicznego udostępniania tekstu w dowolnej formie.

Tytuł e-booka: Alfa Jeden

ISBN 978–83–941896–1–7

Wydanie II

Redaktor techniczny: Paweł Prusinowski

Korekta: Joanna Uchman

Okładka: projekt autorski

Kontakt: [abielewicz@interia.pl](mailto:abielewicz@interia.pl)

Do finalnej wersji książki przyczyniło się wiele osób, podając swoje sugestie i podpowiedzi. Od redaktorów Fabryki Słów i czytelników Nowej Fantastyki, po wojskowych, pracowników sektora IT, jak i czytelników sf, którzy nie szczędzili krytyki i nie zostawili na tekście suchej nitki. Za każdą pomoc, nawet w kwestii wyrazu, wszystkim tym osobom bardzo dziękuję.

## Trzy fragmenty wybrane z różnych miejsc powieści.

Edgar Strzelbowski szedł głównym holem Wydziału ku izbie kontrolnej, chcąc jak najszybciej załatwić sprawę z Jakowlewem, który wezwał go do siebie z jakiegoś powodu. Albinos był zmęczony, nieskory do niczego i od rana w kiepskim humorze. Przypuszczał, że Dawid będzie próbował wcisnąć mu nockę, chociaż według harmonogramu zmiana Edgara zaczynała się o ósmej rano następnego dnia.

Zastał kierownika naukowego samego w dyspozytorni.

– A gdzie chłopaki? – Edgar musnął spojrzeniem puste krzesła. – Nie powinno ich tu być o tej porze?

– Wysłałem ich na kameralny wykład – odparł Jakowlew. – Sądziłem, że również zechcesz się tam wybrać.

– Jestem zmęczony.

– Rozumiem. – Doktor westchnął. Także wyglądał na zmęczonego, a z jego posępnego wyrazu twarzy (jeśli udawał, to robił to doskonale) Strzelbowski wyczytał, że nie przywołał go o wieczornej porze jedynie po to, by zasypać dobrymi wiadomościami.

Jakowlew rzucił na blat przed Edgarem dwa szczepione ze sobą syntetyki papierowe.

– Co to jest? – Strzelbowski uniósł kartki i zaczął przelatywać wzrokiem po treści.

– Wypowiedzenie – wyjaśnił kierownik w tym samym momencie, w którym doktor ujrzał swoje nazwisko. – Musiałem wydać je na piśmie, by dopełnić formalności.

Edgar popatrzył na Dawida z niedowierzaniem, opuszczając dokument. Teraz rozumiał, dlatego kierownik oddelegował świadków z pomieszczenia: chciał, by wszystko zostało dopełnione na stronie, w ciszy i tajemnicy.

– Nie może pan... Za co?

– Za utrudnianie pracy zespołowi przez wypowiadanie na głos skandalicznych osądów i kwestionowanie poleceń.

Strzelbowski przybrał maskę rozbawienia. – Nie można przecież wyrzucać pracownika za jego poglądy!

– Owszem. Za poglądy nie, ale za utrudnianie pracy tak. – Dawid usiadł na krześle. Wydawał się być tak załamany, jakby odprowadzał swego najlepszego podwładnego wyłącznie z konieczności. – Już od jakiegoś czasu planowałem to zrobić, Edgarze. Doskonale zdajesz sobie z tego sprawę, że podchodzisz do wszystkiego zbyt emocjonalnie, nawet z egzaltacją, a w pracy, którą tu wykonujemy, nie ma miejsca na jakiegokolwiek skrupuły. Inaczej nie zaszlibyśmy tak daleko. – Uniósł rękę, widząc że młodszy doktor nabiera tchu, chcąc najwidoczniej wyrazić swoje niezadowolenie. – Będziesz miał teraz więcej czasu na pracę przy entraserze. To drugi powód, dla którego cię zwalniam.

– Tylko prawomocny pracodawca, czyli Korporacja, ma prawo mnie zwolnić. – Strzelbowski rzucił jedyną słabą kartę, jaką dysponował w tej sytuacji; nie chciał używać szczeniackiego argumentu i zasłaniać się ojcowskim majątkiem, tracąc przy tym twarz. Wylanie go z projektu „Likwidator” było ostatnią rzeczą, jakiej się spodziewał. Znał rozsądne granice w starciach z Jakowlewem, lecz dotychczas ich nie przekroczył, choć panujące pomiędzy nimi stosunki nie raz wydawały się wykraczać poza czerwoną linię. Wykluczenie z zespołu utrudniało Edgarowi zadanie jako vomisańskiego wywiadowcy; jego misja była wciąż niekompletna. Jeśli straci bezpośredni dostęp do centrum Wydziału, będzie zmuszony wyciągać dane drogą okrężną, przez kapripod ze swojego gabinetu. A to wymagało czasu i absolutnej prywatności, których, jak się właśnie dowiedział, z powodu entrasera nie będzie mieć w najbliższym czasie.

– Władzę prawomocną w tym przypadku mam ja, czyli kierownik projektu. Mogę więc dobierać sobie personel wedle własnego uznania. – Dawid złączył czubki palców. – Przykro mi, Edgarze.

– Kto zajmie moje miejsce? – rzucił Strzelbowski od niechcenia.

– Mateusz Lenart.

– Co?! – Edgar prawie krzyknął. – Przepraszam. Mat miałby mnie zastąpić? Przecież on...

– Tak – przerwał kierownik. – Lenart się jeszcze nie zaaklimatyzował, niemniej jest młody, a jego umysł chłonny jak gąbka, zatem uważam, że będzie sumiennym stażystą, a po odbyciu szkolenia godnym zastępcą na twoim stanowisku. Ma wielki potencjał i nie boi się wyzwania. – Doktor ściszył głos, przybierając wyraz fałszywej powagi. – W przeciwieństwie do ciebie.

– Chce pan zrobić z niego marionetkę – kontrował Strzelbowski. Czuł, że trwająca dotychczas kulturalna rozmowa schodzi właśnie na zniewagi i ciskanie rękawicami pod nogi. – Fakt, jest młody, nie zna jeszcze życia, patrzy na wszechświat przez pryzmat niebotycznych planów i marzeń. I z tego powodu niesłuchanie łatwo jest nim manipulować, a pan dobrze o tym wie. I o to tu właśnie chodzi! Pan lubi otaczać się konformistami, a indywidualistów i radykałów boi się pan jak jasnej cholery.

– Dość. – Doktor wstał, głośno wypuszczając nosem powietrze. – Od teraz nie masz tu czego szukać – ni to warknął, ni to szepnął. – Mat cię zastąpi i to jest decyzja ostateczna. Mam dość ustawicznego stresu i wiecznych kłótni z tobą.

– Rozumiem. – Strzelbowski zabrał swoje dokumenty i się odwrócił, by wyjść. Fakt. Dawid posiadał prawo dobierania pracowników do zespołu wedle własnego uznania i ich przydatności, a Edgar nie miał, niestety, dostatecznie silnych argumentów, by przeciwdziałać zapadniętej decyzji. W tym wszystkim były jeszcze dwie sprawy, o których nigdy głośno nie wspomniano, a które były doskonale znane obu naukowcom: wyczulenie Edgara na krwawe eksperymenty przeprowadzane w Asfarii i więź braterska klona-doktora ze sztucznie stworzonym człowiekiem. Niehumanitarne testy, jakim poddawano niczego nieświadomego Enrila, godziły w



Strzelbowskiego bardziej niż najgorsze obelgi łamiące kości. Bardziej niż kule karabinowe, wywołując w nim uciążliwy ból, który doktor przekształcał później na nienawiść kierowaną pod adresem Jakowlewa. – Zatem dobranoc, doktorze.

– Wyśpij się w końcu, Edgarze. – Kierownik projektu przystanął nieopodal progu. – I skończcie ten entraser w jak najszybszym terminie – dodał, kiedy szczęknęły drzwi za zrezygnowanym mężczyzną.



Po skończonym treningu, zgodnie z obietnicą złożoną przez Enrila, spoconej skóry Sandry nie szpecił nawet najdrobniejszy karb, choć bolały ją nadgarstki i najintensywniej pracujące nogi. Usiadła obok swego ani odrobinę zgrzanego trenera, potwornie zmęczona, lecz zadowolona. Sztylety zabrzęczały metalicznie, gdy rzuciła je na skrzyżowane na posadzce kordy, które mężczyzna odłożył przed chwilą. Ściągnęła też rękawice.

– I jak mi poszło? – zapytała.

Enril milczał przez moment, jakby szukał w umyśle odpowiednich słów.

– Okropnie. – Uśmiechnął się. Udając załamanie, Sandra odchyliła głowę w tył, zalewając połowę pleców wodospadem włosów. – Ale całkiem nieźle jak na kogoś, kto pierwszy raz trzyma sztylet w ręce – dopełnił.

– Jak mówi pewne przysłowie: w dobę nie skolonizujesz planety. – Na tę wzmiankę popatrzyli ku Phalagionowi, który błyszczał nad kopułą złocistym brązem wśród czerni kosmosu i archipelagów gwiazd. – Gdzie nauczyłeś się tak walczyć?

– Nigdzie. Obudziłem się któregoś dnia w Asfarii, takim, jakiego widzisz mnie teraz – Alfa Jeden wyciągnął się na posadzce – i po prostu wszystko umiałem. Nawet jeśli fechtowałem się z kimkolwiek, to nic nie pamiętam.

– Chyba wiem, o czym mówisz. – Sandra westchnęła bezgłośnie. – Kiedy mnie porwano, miałam tymczasową

amnezję, ale pamięć w końcu wróciła. Może z tobą postąpili podobnie, tyle że wymazali ci z pamięci całą przeszłość? Ojciec powiedział mi kiedyś, że z mózgiem człowieka da się robić naprawdę niesłychane rzeczy.

Enril przekręcił się na bok, tyłem do Sandry. – Nie obchodzi mnie to. Bez względu na to, jaka by ta przeszłość nie była, nie mam ochoty o niej pamiętać. Co było, już nie istnieje. Przynajmniej staram się tego trzymać. – Zamyślony, odezwał się po krótkiej przerwie: – Cały czas dręczy mnie poczucie winy, choć starasz się mnie przekonać, że za nic nie ponoszę odpowiedzialności.

– Niezbyt rozumiem, o co ci chodzi.

Mężczyzna uniósł się do pozycji półleżącej, podparłszy się z tyłu łokciami. – Że z jednej strony staram się żyć teraźniejszością, a z drugiej cholernie mnie ona męczy. Cholernie. Wiecznie rozpamiętuję o jakichś drobnostkach.

Sandra wiedziała, czemu tak się dzieje. Wiedziała, że ludzie nie wypełniający sobie czasu obowiązkami i przyjemnościami, z jego biegiem zaczynają wykazywać tendencje filozoficzne w najlepszym wypadku, w najgorszym – popadają w depresję, stają się apatyczni i przygnębieni. Zachowała to jednak dla siebie, nie chcąc deprimować bardziej i tak już strapionego towarzysza.

– Niczemu nie jesteś winny, Enril. I nie mam zamiaru więcej tego powtarzać. – Chętnie dałaby mu przyjacielskiego szturchańca w ramię, jednak nie była pewna, czy może sobie pozwolić na taką bezpośredniość w kontakcie z kimś, kogo wciąż ledwo zna.

– Co wiesz o Bogu? – nagle zmienił temat, odchylając ku dziewczynie głowę.

Pytanie Enrila zbiło Sandrę z tropu, że przez chwilę patrzyła na niego jak na osobę zupełnie obcą.

– Jestem ekwilibrianką jak wielu współczesnych ludzi, dokładniej jest to forma filozofii, a nie religia – odpowiedziała rzetelnie. Po co zresztą miałyby przed szczerym i całkowicie otwartym człowiekiem cokolwiek ukrywać? – Uznaję tylko



dwa prawa: wszechobecne prawo równowagi i zasadę hermetyczną Trismegistosa, która zakłada, że: "To co jest na dole, jest podobne do tego, co jest na górze, a to co na górze, jest podobne do tego, co jest na dole".

– To znaczy?

– Że wszystko jest jednością, jest do siebie podobne i działa na podobnych zasadach. Przykładowo brzoskwinia ma ten sam schemat budowy co planeta, pierwotniaki łączą się w kolonie podobnie jak materia kosmiczna zmierza ku sobie, człowiek rodzi się, żyje i umiera, podobnie jak nieskończona ilość wszechświatów, orzech włoski jest podobny do mózgu ssaków, papryka wygląda jak serce, porządek ekosystemu odnosi się do porządku w przestrzeni kosmicznej. I tak dalej.

– Brzmi dość ciekawie. Ale co to ma wspólnego z Bogiem?

– Ekwilibrianie uważają cały wszechświat za objaw boskości, dlatego według nas nie da się zdefiniować Boga jako określonej, materialnej istoty, jak widzą go na przykład chrześcijanie – oni utożsamiają Boga z człowiekiem, nie wspominając już o jego synu, Chrystusie, który zszedł z niebios na Ziemię pod postacią ludzką. To czysty przejaw eksterioryzacji człowieczego ego. Dla ekwilibrian to niedorzeczne. Każdy indywidualnie powinien zrozumieć, powołując się na własną wiedzę i zdobyte doświadczenia, kim On naprawdę jest, bo nie ma uniwersalnego modelu Boga i nigdy nie będzie. Bóg to wszystko co nas otacza, to roślina, której liście pragną dosięgnąć nieba, to zwierzę dopadające ofiarę, to energia kinetyczna rwącej rzeki, to porządek kosmosu, to ewolucja. Tę przesycającą wszystko energię, której przykładowe atrybuty właśnie wymieniałam, każdy człowiek nosi w sobie, a jeśli ktoś jest naprawdę wysoko uduchowiony, medytuje, czyni dobro, ogranicza do minimum swe ambicje materialne, nie niszczy ciała toksynami – za swe poświęcenie otrzymuje nagrodę. Tym darem jest nic innego, jak cząsteczka boskości. Tak właśnie działa Równowaga. Nie sprawiedliwość – ale Równowaga, bo według ekwilibrian sprawiedliwość nie istnieje.



Ostatnie dziesiątki metrów, dzielące Enrila od drzwi dyspozytorni, powinny być strzeżone niczym prezydencki apartament, tymczasem pilnowały ich kinkiety solarne i dyszący w górze wentylator. Nikt nie ryknął: "Brać drania!", nie pofrunął w światło korytarza żaden granat, nie posypał się deszcz pocisków. To musi być pułapka z opóźnionym zapłonem, pomyślał Alfa, z mocno opóźnionym zapłonem. Przy każdym kolejnym kroku mężczyzny, trzymającego w dłoniach zakrwawione sztylety, umysł podpowiadał mu, że zaraz doświadczy czegoś szokującego.

W pomieszczeniu faktycznie ktoś był. Gdy tylko Enril przesunął dezaktywowane drzwi silnym naciskiem dłoni, pierwsze, co ujrzał w przyciemnionej dyspozytorni, to oparcie fotela, ponad którym wystawała część głowy ogolonej po bokach, z gęstwiną brązowych włosów na szczycie.

Fotel obrócił się wolno w stronę przybyłego. Zasiadająca w nim postać, podpierająca się rękoma na podłokietnikach, nie była człowiekiem, lecz androidem o oczach świecących czerwienią w trybie termowizji. Ciekawe, czy jego oczy wyglądają podobnie, przeleciało Enrilowi przez głowę, kiedy korzysta z niestandardowych trybów widzenia, jakimi obdarował go entraser Strzelbowski.

Android niespodziewanie zaczął klaskać, co pchnęło umysł mężczyzny do gorączkowego myślenia, a dłonie – do zwiększenia uścisku na rękojeściach sztyletów.

– Proszę, proszę. Obiekt Alfa Jeden zwany także Enrilem. – Uśmiechając się ze złośliwą satysfakcją, sztuczny człowiek podniósł się z siedzenia. – Od początku wiedziałem, że tu przybędziesz. Moje gratulacje. Zresztą nietrudno było się tego domyślić, biorąc pod uwagę to, co zgotowali ci jajogłowi.

Enril ani drgnął, bacznie śledził zgrabne, miękkie choć mechaniczne ruchy tamtego, w razie czego gotowy na błyskawiczną defensywę. Przez cały czas starał się

utrzymywać chłodne, obojętne oblicze, by nie zdradzać robotowi swojej rosnącej dezorientacji, tudzież zaniepokojenia.

– Porucznik Hammurabi? – zapytał Enril, zidentyfikowawszy tożsamość androida dzięki danym z entrasera.

– We własnej osobie. – Hammurabi pchnął silnie fotel, który przejechał kawałek i zatrzymał się przy stole obładowanym dezaktywowanym sprzętem.

– Czego chcesz? Gdzie doktor Jakowlew? – Alfa zaczął bacznie rozglądać się po pomieszczeniu. Im więcej szczegółów dostrzegał, tym mocniej waliło mu serce. Dwadzieścia siedem złożonych obwódek niedziałających monitorów holograficznych, potężne kapripody sterujące robotami i elektroniką Asfarii, płytki sterownicze poobklejane malutkimi ściągawkami pełnymi skrótów, dat, wyrazów i liczb, egzokomy, regulatory dźwięku – zrozumienie nie mogło nie nadejść przy całej masie ewidentnych dowodów. Zatem stąd nadawał jego „Bóg”...

– Tak spieszo ci do tego frajera? – Cyniczny uśmiech androida pogłębił się jeszcze bardziej. Biorąc pod uwagę dziwne zachowanie i niejednoznacznie brzmiące słowa, Enril nie był pewien, czy powinien myśleć o nim wyłącznie jak o wrogu. Porucznik z pewnością czegoś od niego chciał, a może nawet czegoś od niego oczekiwał, bo raczej nie przyszedłby tu na zbędne pogaduszki.

Hammurabi podszedł do Enrila, rzucił mu przelotne spojrzenie, po czym zaczął wędrować denerwująco z lewa na prawo i z powrotem, skupiając wzrok na wszystkim wokół, poza obliczem oczekującego wyjaśnień mężczyzny.

– Rozwaliłeś pół placówki, nieźle – rzucił z rozbawieniem android. – Rozniosłeś w pył moich podkomendnych, teraz nikt z Falkonu nie ma ochoty przyjść tu dobrowolnie. Chłopaków nie kusi nawet podwójny żołd. Wyobrażasz to sobie?

– Zatem o to chodzi... przybyłeś dla zemsty – oznajmił Enril.

– Może tak samo jak ty, A1? Nie, nie przybyłem tu, aby się mścić za tych słabych bałwanów, załatwiających sprawy po amerykańsku – powiedział, przerywając refleksję Enrila nad ostatnim pytaniem. – Na końcu Wydziału, przy przełazie do następnego budynku, wartuje reszta moich podkomendnych, dość liczna gromadka, jeśli mam już operować szczegółami. Nie wzywam ich, jak widzisz. Może domyśliłeś się już, dlaczego?

Patrząc na androida wyzywająco, ze zmarszczonymi brwiami, Enril przecząco pokiwał głową.

– Widziałem parę twoich walk, człowieku, na przykład tę, w której wykończyłeś Gabriela i towarzyszącą mu trójkę. Także tę, w której dokopałeś androidowi XM23-CR. Od tamtej pory tak się zastanawiam... – wzruszył ramionami – czy rzeczywiście jesteś taki dobry? – Hammurabiemu zniknął z twarzy ironiczny uśmiech, mężczyzna stał się nagle niesłychanie poważny. Zatrzymał się na wprost Enrila, któremu mięśnie naprężyły się gwałtownie, odpiął pasek z kaburami i odrzucił go w tył, pod stanowisko pracy Ravena.

Alfa uśmiechnął się półgębkiem, rozumiejąc, co tamten zamierza. Skoro doktor Jakowlew spanikował i uciekł z dyspozytorni, nie będąc w stanie spojrzeć w oczy temu, kim manipulował bez najmniejszych skrupułów, nie zaszkodzi odreagować na kim innym.

– Czemu nie? – rzekł, po czym uczynił ze swoimi strikerami to samo, co android z pistoletami jonowymi, następnie przesunął je butem w kąt, razem ze sztyletami i plazmówką.

Android od dawna marzył o takiej walce. Zaatakował pierwszy, bez zbędnych ceregieli. Jednym skokiem znalazł się przy mężczyźnie, aluminiowo-kompozytowa noga wystrzeliła w powietrze.

Enril zablokował wysokie kopnięcie przed samym nosem, chwytając but oburącz. Zamierzał wywalić przeciwnika na ziemię, wykręcając mu kostkę. Android najwyraźniej przewidział jego zamiar – Enrilowi przeleciała przez głowę niepokojąca myśl, że robot wyczytuje wszystko z entrasera – bowiem



wygiął plecy w łuk, wyrzucając jednocześnie w górę drugą nogę, oparł dłonie o ziemię i odskoczył w tył pięknym saltem. Enril po raz drugi uniknął kopnięcia, błyskawicznie odchylając się.

Alfa zaszarżował, zamierzając wykorzystać moment, w którym ponad stukilogramowy Hammurabi odzyskiwał pion, by przewrócić przeciwnika. Android chwycił go jednak błyskawicznie za szyję, podniósł i posłał w powietrze łatwo niczym pluszową zabawkę.

Przeleciawszy dobrych kilka metrów, wykonując niekontrolowany półobrót, Enril wylądował bokiem na blacie stołu, z łomotem zwalając z niego sprzęt. Nie zdążył dokończyć przekleństwa, a już kompozytowe łapska chwyciły go za ramiona i silnym szarpnięciem zwały ze stołu na stalową posadzkę.

Enril zajączał, czując pod plecami kanciaste, metalowe podzespoły kapripodu. Specjalnie się nie podnosił, udając, że nadwreżył sobie ścięgno szyjne: zaczął utyskiwać na ból. A gdy android skutecznie dał się nabrać i znalazł się przy nim na wyciągnięcie ręki, Alfa zrobił wyskok i trzasnął tamtego butami w klatkę piersiową. Wrażenie było takie, jakby kopnął ścianę. Niemniej udało się.

Hammurabi wyróżnął się na ziemi jak długi, grzmotnąwszy o nią z metalicznym brzękiem. Wróciwszy do pionu nienaturalnie szybkim jak na swój ciężar wyskokiem, ujrzał przed sobą pogrążonego w afekcie Enrila, mierzącego go pełnym paleolitycznej satysfakcji, wyzywającym spojrzeniem.

Robot i człowiek skoczyli na siebie z pięściami. Enril, który rozpoczął walkę lewym sierpowym, szybko przekonał się, że nie był to dobry pomysł. Przystojna twarz przeciwnika, choć wydawała się miękka i delikatna, jakby zrobiona z gumy, miała w rzeczywistości twardość głazu. Im silniej uderzał w praktycznie wystawiającego się na ciosy Hammurabiego, tym głośniejszy był śmiech tego drugiego.

Android kontratakował. Pierwsze uderzenie, stosunkowo lekkie, wymierzone pięścią w brzuch, zgięło człowieka w pół,

drugie wyprostowało go, odrzucając mu głowę daleko w tył. Po trzecim Enril znów przeleciał przez pomieszczenie, lecz tym razem wymanewrował w powietrzu ze sprężystością kota i wylądował na blacie na czterech kończynach. Porwał krzesło i cisnął nim z rozmachem w zbliżającego się przeciwnika, krzycząc. Pocisk trafił w cel; uśmiechnięty z powodu daremnych starań mężczyzny Hammurabi nie pofatygował się nawet, by zrobić unik. Wypaczone krzesło "spłynęło" po nim, jak woda po kacze.

– I to wszystko, na co cię stać? – zadrwił robot.

– Daj mi się rozgrzać.

Alfa zaatakował ponownie. Od ponad dwóch minut, czyli czasu trwania tej nieszczęsnej walki, odnosił wrażenie, jakby gołymi rękoma próbował pokonać golem. Dotychczasowe pojedynki rozgrywał na dużej powierzchni Asfarii, do jakiej był przyzwyczajony. Przemieszczał się między pomieszczeniami, wykorzystując znajomość rozstawienia korytarzy, echo myślące przeciwników, każdą geometrię, każdą amplę, nawet każdy kolektor, lecz teraz miał do dyspozycji ciasny, prosty pokój, zagrożony sprzętem w dodatku. Niemniej miał nad Hammurabim pewną przewagę: był szybszy i zwinniejszy. I nie wahał się tego wykorzystać.

Walka z androidami w Asfarii nauczyła Enrila, że ich czułym miejscem są relatywnie słabo opancerzone stawy i wszystkie ruchome miejsca, szczególnie szyja, w której biegną przesyłające impulsy przewody, podłączone do elektronicznego mózgu. Gdyby tylko wykrzesał z siebie tyle siły, by móc skrócić porucznikowi kark...

Uśpione do czasu iniekcji entrasera obszary mózgu Enrila, choć pobudzone, stymulujące wytwarzanie zmodyfikowanych hormonów i przesyłające więcej impulsów do mięśni, zrobiły z niego świetnego wojownika, lecz Hammurabi okazał się prawdziwym kamieniem milowym. Był znacznie lepszy od każdego przeciwnika, z jakim Alfa dotychczas miał do czynienia. Poruszał się trochę wolniej niż człowiek, jednak nadrabiał to siłą

wspomaganych hydraulicznie ramion. I laserowym spojrzeniem, dającym przewagę wizualną.

Enril krwawił z nosa. Zignorowawszy szarpiący ból w trzewiach, w które oberwał już kilkakrotnie pięścią, rzucił się na adwersarza, chcąc dobrać się do jego wrażliwej szyi. Jeśli przeżyje zapamięta, by przy każdej kolejnej walce z androidem trzymać go na pewien dystans.

Stylowa walka rodem z ziemskiego Dalekiego Wschodu przekształciła się w miotanie się po podłożu, wrzaski, ryki, zwody, rzucanie coraz to bardziej kuriozalnymi przedmiotami po dyspozytorni, wyglądającej teraz jak po ataku terrorystów.

Kiedy ramię ogranicznika ekranu, służące za matrycę do generacji holograficznego obrazu, udało się uderzonemu o stół Enrilowi wygiąć na sztorc, pojedynek przybrał nową formę: wygra ten, kto nadzieje przeciwnika na kevlarowy szpikulec.

Hammurabi silnie pchnął człowieka w tamtą stronę. Enril zaparł się na stole ramionami, mając pomiędzy nimi przymocowany do blatu kiel metalowego ostrza. Nie dając przeciwnikowi ni sekundy na odskok, android trzasnął człowieka w plecy splecionymi dłońmi, aż Enrilowi zagrało w płucach. Na moment stracił dech, z bólu chciało mu się wyć.

Hammurabi naciskał; Alfa pchał gorączkowo w przeciwną stronę, zaciskając zęby, pocąc się obficie i krwawiąc z ran na twarzy. Mięśnie pod kombinezonem paliły go żywym ogniem. Długo tego nie wytrzyma...

Alfa nie był pewien czy jego ciało zareagowało instynktownie, czy świadomie przesunął środek ciężkości w bok. Możliwe że wykonał jakiś niekontrolowany ruch, który momentalnie został wymazany z pamięci. Lecz kiedy znalazł się w bezpiecznej odległości od ostrza, opierając się siedzeniem o krawędź stołu, ku własnemu zdumieniu dostrzegł krztuszącego się Hammurabiego, z twarzą zastygłą w grymasie jeszcze większego zdumienia. Z pleców androida wystawał kevlarowy kiel.

Enril odskoczył od blatu, dorwał Hammurabiego, który nagle stracił całą swą tytaniczną siłę. Mocnym szarpnięciem

zdział go z ostrza, przekreślił twarzą do siebie i nadział ponownie. Zdziwienie androida momentalnie przeszło w wyraz pomylenia śmiejącego się z własnej śmierci, niechybnie zbliżającej się wielkimi krokami. Hammurabi nie mógł jednak umrzeć. Człowiek z przebitą przeponą i kręgosłupem wygasłby w kilka chwil, lecz android w takim przypadku ulegał dezaktywacji do czasu wymiany uszkodzonych podzespołów na nowe, o ile sam nie potrafił się naprawić.

– Wiedziałem, że jesteś dobry – syknął porucznik głosem zupełnie do swojego niepodobnym, mocno brzęczącym, jakby szmelc utknął mu w przełyku. Z ust zaczęła wypływać obficie czarna breja konsystencją zbliżona do rozpuszczonych lodów, gdy Hammurabi zaniósł się obłąkańczym śmiechem, dudniącym w pomieszczeniu.

Zdyszany Enril podniósł swój sprzęt. Przełożył nylonowy pasek plazmówki przez tors, drugi pas z kaburami strikerów i pokrowcami sztyletów opiął wokół bioder. Znalazł w szafce medycznej gazę, nasączył ją jodyną i przeleciał sobie po twarzy.

Spojrzał zdziwiony na Hammurabiego, gdy ten ponownie się odezwał, nie tracąc pogody ducha pomimo przegranej:

– Chcesz dorwać doktora, prawda?

– Więc wiesz, gdzie on jest? – Mężczyzna starł pot z czoła.

– Jeśli się pośpieszysz, może złapiesz go na peronie kolejki zmierzającej do Falkonu. Tylko nie myśl sobie, że próbowałem cię spowolnić.

– Znam to miejsce z planu Inion Vertex. – Enril dał krok w stronę wyjścia. Przeczuwał, że android, choć przewrotny, mówi prawdę i nie zamierza sprowadzić go na manowce, strzeżone przez jego podkomendnych.

– Czekaj! – Unieruchomiony Hammurabi z sykiem protestującej dźwigni uniósł dłoń, co było teraz najbardziej skomplikowaną czynnością, na jaką mógł sobie pozwolić. – Pod piwnicą jest przepompownia i długi jak diabli sektor kanalizacji. Całość jest niestrzeżona. To skrót. Możesz z niego

skorzystać, jeśli nie chcesz się natknąć na strzępki drużyn, które porozbijałeś.

– Czemu mi pomagasz? – zapytał podejrzliwie Enril, przekrzywiając głowę.

Hammurabi splunął czarną „krew”, wyszczerzył upačkane nią zęby.

– Może dlatego, bo cię lubię? Może dlatego, że doktorek mnie wkurzył? Może robię na złość Relagardowi, który sypie bezsensownymi rozkazami, jak tasiemiec jajami, z których prawie żaden nie spełni swojej roli? Może dlatego, że Silva przegrał?

– Silva przegrał?!

Android uśmiechnął się jeszcze bardziej. – Ten twój stuknięty myśliwiec Auris go rozwalił. Pewnie się cieszysz, nie?

– Po czyjej ty właściwie jesteś stronie, poruczniku?

Znowu chichot.

– Zjeżdżaj, dzieciaku.

Enril upuścił dyspozytornię, odczuwając jeszcze większą ulgę niż wówczas, gdy jeden z ghostów uratował mu życie podczas rozwalania w kosmosie działka Mavericka.

Alfa zbiegał schodami przeciwpożarowymi do podziemi Wydziału z taką prędkością, jakby miał zainstalowany w sobie któryś z napędów Aurisa.